

## Słowo o karteluszkach

Zapiski te poczynione zostały głównie z myślą o utrwaleniu we własnej pamięci śladów po pasjach społecznikowskich serdecznego Kolegi, krakowskiego kulturoznawcy Stanisława Dziedzica. Rozległe wątki Jego aktywności czynią materię trudną już na etapie diagnozy, nie mówiąc o próbie ich zsumowania. Ponieważ nie mieszkam w Krakowie, o wielu z nich dowiadywałem się z mediów, względnie z koleżeńskich relacji. Tak się jednak szczęśliwie również składało, że od czasu do czasu dane nam było wspólnie coś zaprogramować, a nawet zrealizować.

Wszystkie te przedsięwzięcia można oczywiście bez trudu usytuować na mapie czasu. Po latach daty i miejsca spotkań wspólnych zacierają się w pamięci, a wyrazistości nabierają refleksje mające swe źródło w radości czerpanej z doznań artystycznych.

Wagi zdają się nabierać detale, żarty, krotochwilne dworowanie... Tymi intencjonalnymi uwagami skłaniam się uwolnić – może i skutecznie – od żmudnych, a dla mnie z natury trudnych pośmiertnych relacji.

Nie liczę więc, że będą one kolportowane na Plantach ani rozdawane w krakowskich kruchtach, których płodny literacko Pan Dziedzic nie zdążył w trakcie ziemskiej wędrówki w pełni opisać. Będę więc dokładał starań, by utrzymać się w konwencji tradycyjnych wypominek poświęconych osobom świeckim.

Były one od wieków rdzeniem chrześcijańskiej obrzędowości na terenie całej wspólnoty *christianitas*, do której przynależał i zmarły.

### **1. Pana nie kropił**

Tym ocennym zwrotem, potocznym w Jego i moich stronach rodzinnych, rozpoczynam te wspominki o swoim ziomku. Dla każdego ambitnego abiturienta szkoły średniej w Ziemi Rzeszowskiej zaszczytem, cenionym wielce, było podjęcie studiów w krakowskiej Alma Mater.

Takie marzenia udawało się zrealizować nielicznym. Dobrotliwi sąsiedzi przyjmowali to najczęściej z życzliwym uznaniem. Ot, jeszcze jeden z nich potrafił wybić się na pana. Gdy zaś taki delikwent nieopacznie zapominał o stronach rodzinnych, kwitowali z ironicznym przekąsem: „Kropi pana”.

Stanisław Dziedzic, rodem ze wsi Dąbrowa, podczas studiów w Krakowie, a i później, pracując w tym mieście, nie zapomniał nigdy o swojskim macezniku i chłopskich korzeniach. Pobudował nawet w rodzinnym siole okazały dom z myślą o spokojnej starości.

Na dodatek w lekko snobizującym się na wiele sposobów Krakowie zapisał się do partii ludowej i reprezentował ją godnie do końca swoich ziemskich dni. Ta przynależność – a znam to dobrze z autopsji – nie przysparzała mu nigdy splendorów ani u reprezentantów innych „postępowych” opcji politycznych, ani u kawiarnianych potakiwaczy.

W tej materii mógł się spodziewać nawet dodatkowej serii uszczypliwości z racji bardziej szlacheckiego niż chłopskiego nazwiska. Związany na dobre i złe z ruchem chłopskim zawsze mógł usłyszeć błahostkę, że los obdarzył go wręcz skokowym awansem, czyniąc, detalicznie rzecz biorąc, dziedzica z włościanina.

Tego typu żarty nie mogły, rzecz jasna, nigdy przesłonić osobistych sukcesów Stanisława Dziedzica ani w pracy zawodowej, ani na niwie naukowej. Jego *curriculum vitae* posłużyć wręcz może za wzorcowy przykład postawy obywatelskiej w złych i dobrych momentach dla kraju.

### **2. Lekcja salonowej pokory**

Dla nader licznego środowiska animatorów kultury pragnących w dużych ośrodkach miejskich podtrzymywać na przełomie XX i XXI wieku tradycyjne

wartości dziedzictwa wiejskiego istotną sprawą stawało się przypominanie sylwetek zapomnianych liderów ruchu ludowego. Żadna bowiem z opcji politycznych szczycących się pracą organiczną pod sztandarem „Żywią i bronią” nie była w stanie wyjść poza przypominanie zasług Wincentego Witosa, Stanisława Mikołajczyka i co najwyżej Macieja Rataja. Ten urząd etosowy doskwierał młodszej generacji działaczy, zwłaszcza samorządowych. Dla nich adekwatne już było hasło: „Żywią, bronią i włodarzą”.

Wychodząc naprzeciw tym oczekiwaniom, Rada Senioralna Fundacji Karola E. Lewakowskiego, którą miałem zaszczyt reprezentować, wspólnie z jej pierwszym prezesem zarządu Witoldem Knychalskim umyśliła ustanowić honorową nagrodę. Uznano zgodnie, że jej patronem winien być człowiek legenda: Włodzimierz Przerwa-Tetmajer.

Poczyniliśmy więc przygotowania do wydania reprintu Jego utworu oraz poprosiliśmy znawcę tematu Stanisława Dziedzica o napisanie stosownego eseju. Wydawało się nam naiwnie, że wybór projektu statuetki zwieńczy wstępne przygotowania organizacyjne. Tymczasem – jak to w Krakowie – zaczęły się piętrzyć trudności formalne, które trudno po latach nawet precyzyjnie wyliczyć.

W tym stanie rzeczy pozostało nam zarzucić pomysł bądź też ambicjonalnie zachęcić Stanisława Dziedzica do rozwikłania podwawelskich zawilości. *Summa summarum* wszystko szczęśliwie się skończyło, łącznie z wyborem pierwszych laureatów i ich zgodą na przyjęcie wyróżnienia. Chcieliśmy bowiem bardzo, by pierwszymi nagrodzonymi laureatami zostali członkowie rodziny Włodzimierza Przerwy-Tetmajera – wnuczka Elżbieta Konstanty i jej mąż. Ich wielką zasługą były bowiem odnowienie legendarnej Tetmajerówki i ustawiczna troska o konserwację oraz pielęgnowanie artefaktów zachowanych po słynnym artyście i literacie, który – choć światowiec – w głębi serca nigdy nie zniechęcił się do trwania w miłości do wsi i ruchu ludowego.

Podniosła uroczystość odbyła się na posesji państwa Konstantych. Na miejscu salonowego spotkania dotarło do mnie z opóźnieniem, że to dla mnie przewidziano powinność zagajenia i powitania obecnych. Jako że mieszkałem poza Krakowem, obawiałem się uchybić kanonom lokalnej etykiety i popełnić lapsus w podziękowaniu za przybycie. Skoncentrowałem się więc na sylwetce patrona nagrody, zasługach laureatów i dość oszczędnie z imienia i nazwiska tudzież godności powitałem lokalnych tuzów i celebrytów.

Kończąc, zauważyłem, że dyrektor Dziedzic szepce coś zatroskany do ucha swego serdecznego przyjaciela Tadeusza Skoczka. Ten z racji ważnej funkcji w formacie stołecznym był tam wszystkim doskonale znany i z atencją przyjmowany. Dziękując mi w serdecznych słowach za wystąpienie oraz uwypuklając jego istotne wątki, kontynuował jednocześnie, jakby mimochodem, witanie obecnych tam profesorów, prezesów, literatów, emerytowanych oficjeli, aż doszedł do uhonorowania w ten sposób dokumentnie wszystkich. I w tym momencie oblicze Stanisława Dziedzica jakby pojaśniało.

Wówczas dotarło do mnie wreszcie, że Bronowice to też od dawna część Krakowa.

### 3 Pielenie fobii narodowych

Po latach dzięki zauroczeniu kolejnym tematem Stanisława Dziedzica, ówczesnego sternika krakowskich spraw kulturalnych, udało mi się ponownie, wraz z wolontariuszami Fundacji Willa Polonia, powrócić do Bronowic, tym razem do mitycznej Rydlówki. Pragnęliśmy usilnie zaprezentować tam dzieło rzeźbiarza Wiesława Domańskiego *Sybille Europejskiej Solidarności*. Cykl rzeźb miejscowego twórcy pokazywany był uprzednio na wernisazu w Brukseli. W ten sposób uczczono tam półwiecze podpisania traktatu rzymskiego początkującego realny proces zespolenia się państw europejskich w jedną wspólnotę.

Możliwość prezentacji w Muzeum Młodej Polski współczesnych ucieleśnień muz antycznych, wieszczących bieg spraw w obrysie starego kontynentu, jawiła się nam obiecująco, zwłaszcza że jedną z rzeźb była *Sybilla Cracovia*. W zamysle twórczym miała ona honorować przede wszystkim wysiłki papieża Jana Pawła II na rzecz wstąpienia Rzeczypospolitej do Unii Europejskiej.

Z przysłowiową łąką w oku wspominam etap przygotowań do wystawy i jej oprawy w postaci kameralnego minikoncertu oraz monologów aktora.

Jak chmury burzowe na nieboskłonie zaczęły się piętrzyć problemy, od konieczności podrasowania wnętrza placówki muzealnej po koszenie wokół niej trawy. Złotousty Stasio Dziedzic, szermując sobie tylko znanymi argumentami, doprowadził całość przedsięwzięcia do szczęśliwego finału.

Pewne obawy towarzyszyły wyłącznie mnie, kiedy zobaczyłem wśród uczestników imprezy egzaltowaną aktorkę w finezyjnym nakryciu głowy i z małym ratlerkiem bez smyczy. Co będzie, jak posłucha rady Pana Młodego

z młodopolskiego dramatu i urealni jego słowa: „Jaki taki niech se szczeka”. Niepotrzebnie się jednak kłopotalem, piesek okazał się wytrawnym bywalcem. Siedział grzecznie pod krzesłem i wybiegał tylko na krótki czas braw, merdając przyjaźnie ogonem. Po czym znów ochoczo powracał na swoje miejsce.

Na użytek tych, nieco pokrętnych, wywodów przejrzałem jeszcze raz uważniej tekst proroczego narodowego eposu. Nie dostrzegłem jednak, by jego twórca Stanisław Wyspiański widział nadmierną potrzebę pilnowania chłopskiej zagrody i biesiadujących w niej weselników przez sforę ujadających burków. Najlepszym przyjaciółom człowieka przypadła w nim rola marginalna i pejoratywna. Ważki dylemat tragedii narodowej, jaką była *Rzeź galicyjska* i udział w niej chłopów, kwituje zwrotem „...to byli jacyś psi”.

Pisząc o tym, przeganiam płochą, a natrętą myśl o symbolice obecności na naszej imprezie niespodziewanego gościa w postaci mniejszego brata od św. Franciszka z Asyżu. Może brakiem obszczekiwania kolejnych jej sekwencji dopełniał jakoś obłąd narodowych fobii, powracających do nas co jakiś czas.

#### 4. Tony minorowe i majorowe

Ostatni rok XX wieku i pierwszy nowego stulecia był dla Fundacji „Paderewski in memoriam” okresem wyjątkowym. Patronat nad kolejnym, jedenastym już festiwalem objął bowiem prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Aleksander Kwaśniewski, a honorowemu komitetowi zgodził się przewodniczyć prymas Polski kardynał Józef Glemp.

Szarża musi mieć zaplecze, więc jeden z koncertów zdecydowano się zorganizować w Krakowie, i to w Collegium Novum Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zaczęło się minorowo, bo w terminie uzgodnionym z uczelnią trudno było o występ artysty światowego formatu. Uratowała nas sławna śpiewaczka Stefania Toczyska, która wraz z renomowanym pianistą Jeffem Cohenem nagrała uprzednio pod auspicjami Fundacji płytę z pieśniami Ignacego Jana Paderewskiego. Jury Akademii Fonograficznej nominowało ją do nagrody Fryderyki 2000 w kategorii Album Roku – Muzyka Wokalna.

Taka propozycja została rzecz jasna więcej niż przychylnie przyjęta przez akademickich współorganizatorów. Po szybko uszczegółowionych detalach pozostało oczekiwanie na niecodzienne wydarzenie. Błogostan przerwał telefon od wytrawnego bywalca, który monitował do stolicy, informując mnie

w konfidencji, że zawsze otrzymywał zaproszenie na tego typu imprezy, i to ze znacznym wyprzedzeniem, a tym razem wszystko się nieprzyzwoicie opóźnia. Uchyliłem się od interwencji, tłumacząc, że za wszystkie sprawy organizacyjne odpowiadają partnerzy z uczelni. Byłem przy tym raczej spokojny, bo nad całością czuwał człowiek orkiestra Stanisław Dziedzic.

Na wszelki wypadek zadzwoniłem jednak do Przyjaciela i dyplomatycznie zacząłem rozmowę od dywagacji związanych z wypełnieniem dużych sal wykładowych podczas organizowania w nich koncertów muzyki klasycznej. Nie omieszkalem też dodać, że w takich sytuacjach dobrze jest doprosić grupkę żelaznych bywalców w celu wypełnienia tak zwanych łysin. Lotny intelektualnie Dziedzic nie dał się wywieść w przysłowiowe galicyjskie pole i z taktem, zręcznie ripostował. W naszej Alma Mater nie trzeba nikogo mobilizować i dodatkowymi karteluszkami dopraszać nawet ważkich figur z rejonów Plant. Zrozumiałem, że w Krakowie, kiedy Magnificencja prosi, nie ma potrzeby niepokoić się o frekwencję. I tak też się stało. Koncert był więcej jak w majorowej tonacji, wzbogacono go nawet o wystawę rękopisów i druków ulotnych związanych z wydarzeniem, a przechowywanych w bibliotece uczelnianej. Całość zamknęło okolicznościowe spotkanie w saloniku rektorskim, który zdobił piękny portret Ignacego Jana Paderewskiego.

## 5. Pod patronackim parasolem

Przed kolejną znaczącą rocznicą kanonizacji Stanisława biskupa, najważniejszego patrona Polski, uświadomiłem sobie, że błogostan relacji wzajemnych między władzą świecką a hierarchią kościelną nie musi być, nawet w nowej rzeczywistości III Rzeczypospolitej, usłany różami. Nigdy przecież za dużo przypominania newralgicznych napięć, które istniały w naszych dziejach jako swoiste *memento*. Doceniając rangę wrażliwego tematu, dr Tadeusz Doroszuk, ówczesny dyrektor oddziału Telewizji Polskiej w Lublinie, przyklasnął inicjatywie i powierzył jej realizację wytrawnej reżyserce Natalii Ziółkowskiej-Kurczuk.

Prawdę mówiąc, zdaje się, że najistotniejszy był jednak wątek lubelski. Święty Stanisław, jako patron diecezji krakowskiej, przez stulecia otaczał opieką także jej wschodnie krańce, czyli Ziemię Lubelską. Po roku zaś 1805, kiedy to erygowano diecezję lubelską – na prawach sukcesji – stał się automatycznie także jednym z jej patronów. Na Lubelszczyźnie funkcjonowała również historyczna

parafia w Piotrawinie powiązana organicznie z legendą o św. Stanisławie. Tam bowiem miał powstać z grobu koronny świadek, zaświadczający, że biskup Stanisław nabył legalnie nieruchomość ziemską i uiścił za nią stosowną zapłatę.

O tym iście niezwykłym epizodzie – cudzie wręcz – w sposób intrygujący napomknął nawet Jan Kochanowski w poemacie *Szachy*. Ponadto w samym sercu grodu nad Bystrzycą ojcowie dominikanie pobudowali sanktuarium pw. św. Krzyża i klasztor, któremu patronuje św. Stanisław.

Temat przewodni etiudy filmowej jawił się w modrych barwach, gorzej było z jej scenariuszem. Wiedziałem jednak, że mogę liczyć na wydatną pomoc Stanisława Dziedzica, erudyty w zakresie cnót i dokonań wszystkich świętych Małopolski.

I nie zawiodłem się ani na jotę. Przekaz ekranowy o św. Stanisławie ze Szczepanowa, podbudowany zarówno wątkami z poematu *Stanisław* Karola Wojtyły, jak i bogatą ikonografią, spotkał się z przychylnym odbiorem widzów. Troška Stanisława Dziedzica o rzetelność merytoryczną, o pokazanie we właściwym wymiarze miejsc związanych z kultem bądź co bądź i Jego patrona budziło podziw nie tylko mój, ale i całej ekipy filmowej. Taka postawa przy realizacji dzieła przyczyniła się do tego, że bez oporów zgodzili się w nim uczestniczyć jako narratorzy kardynał Franciszek Macharski, obecny władca archidiecezji łódzkiej arcybiskup Grzegorz Ryś oraz rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego prof. Franciszek Ziejka.

Upływ czasu nie wymazał szczęśliwie z mojej pamięci śladów duchowych doznań z okresu pracy nad filmem *Święty Stanisław*, co pozostaje niewątpliwą zasługą jego konsultanta merytorycznego o renesansowych horyzontach tej rangi co Stanisław Dziedzic.

### **Epilog morowego smutku**

Plaga na miarę całego pokolenia w postaci nieznannej uprzednio choroby zakaźnej pojawiła się jak kometa, siejąc niepokój i spustoszenie wśród społeczeństw wielu państw. W średniowieczu taki bieg rzeczy określano najczęściej mianem morowego powietrza. Pojawiła się zniecka i na ziemiach polskich, nie oszczędzając rzecz jasna również metropolitarnego Krakowa.

Obecna pandemia oznaczona symbolem COVID-19 dokonała wręcz apokaliptycznego spustoszenia. Pod Wawelem wśród wielu ofiar ze sfery kultury i nauki znalazł się niespodziewanie Stanisław Dziedzic. Zaraza zakłóciła

gwałtownie rytm jego codziennych zajęć i pisarskiej aktywności. Krótko przed tym armagedonem szczęśliwie spotkaliśmy się jeszcze. Tak się bowiem zrządzeniem losu złożyło, że rok przed śmiercią zawitał do Koźlego Grodu nad Bystrzycą. Przyjechał na wernisaż Janusza Jutrzenki Trzebiatowskiego. Motywem przewodnim wystawy, prezentowanej w Salonie Artystycznym *Umbilicus urbis* Fundacji Willa Polonia, była architektura sanktuariów kościelnych w Armenii. Trzeba zaznaczyć, że Jego spontaniczne wystąpienie spotkało się z największym zainteresowaniem, wręcz swoistą estymą obecnych. Bez zapisków i z werwą mówił o dorobku artystycznym twórcy prezentowanych płócien, subtelnościach malarstwa sztalugowego oraz o narodzie ormiańskim z jego przywiązaniem do wiary chrześcijańskiej i nieznannej u nas narodowej tradycji wnoszenia chaczkarów. Nie poprzestał na tym i napisał jeszcze siłą rozpędu dwie obszernie recenzje do czasopism kulturalnych w Krakowie i Lublinie. Ta lubelska ma dla mnie szczególne znaczenie, ponieważ została zamieszczona w jubileuszowym setnym numerze periodyku „Lublin”.

Ciągle oszołomiony nagłą i niespodziewaną śmiercią Przyjaciela powracam myślami do tematyki pogaduszek telefonicznych z poprzedzających ją ostatnich tygodni i miesięcy .

Poczesne miejsce zajmowały w nich zwykle Kresy, postrzegane w obrysie ziem zabranych I Rzeczypospolitej. Mój uczony interlokutor o bezkresnej skali wiedzy w tej materii pasjonował się zwłaszcza koniecznością dokumentowania pozostałych tam jeszcze artefaktów oraz losami polskich księży pełniących posługę duszpasterską zwłaszcza w latach bezlitosnego terroru i tępienia religii przez władze komunistyczne.

Kilkakrotnie powracaliśmy do tragicznych losów sanktuarium w Podkamieniu czy historii klasztoru w Berdyczowie, zwłaszcza rodu Tyszkiewiczów jako jego fundatorów. Na te i inne bliskie Jego sercu zabużańskie tematy napisał wiele interesujących artykułów i większość z nich opublikował w renomowanych pismach naukowych: „Niepodległość i Pamięć” oraz „Roczniku Kresowym”. Zachęcał mnie też stale, bym po ustaniu zarazy poszukiwał dla Akademii Historii i Literatury Polskiej i Słowiańskiej nowych form aktywności. Został bowiem niedawno członkiem tej towarzyskiej konfraterni. Cenił sobie wielce, że przypadło mu jako poloniście z wykształcenia miejsce po zmarłym pisarzu i profesorze literatury pięknej Jerzym Pietrkiewicz z Londynu.



Nic nie zapowiadało tragedii, nie ogarniała mnie żadna nutka niepokoju, nawet wówczas kiedy informowałem z lekka poirytowany, że musi z powodu chronicznego przeziębienia położyć się na kilka dni do szpitala.

Potem dzwoniłem jeszcze ja, by umówić się na dłuższą pogawędkę, kiedy harmonogram zabiegów lekarskich na to pozwoli. Głównym tematem miała być tym razem sesja naukowa poświęcona zmartwychwstańcom, zwłaszcza aktywność członków tego zakonu w Rzymie i wśród Słowian.

Teraz jednak pozostało mi już tylko Cię pożegnać w imieniu społecznej Rady Muzeum Niepodległości w Warszawie, której obaj byliśmy członkami z terenu historycznej Małopolski. Stwarzała nam ona dobre forum do okazjonalnych spotkań.

Z nadzieją zobaczenia się w zaświatach kończę intencją:

*Wieczny odpoczynek  
racz otrzymać,  
bo na ziemski  
nie miałeś czasu!*